

Od autora: Mam nadzieję, że będziecie dla mnie łaskawi - całkiem długo nie pisałam. Nie wiem, czy to będzie jakiś wstęp do większej całości, ale w takiej formie nadaje się na samodzielne opowiadanie, więc się chwalebę. Uprzedzając, Góry Orlickie, o których piszę, a właściwie wieś Podgórze, to moje rodzinne strony ;) Czujcie się zaproszeni!

Opady ustały.

Nawet niedoświadczony obserwator pomyślałby, że nagła zmiana zaskoczyła nie tylko mieszkańców, ale samą siebie, niemożliwym było bowiem powiedzieć, czy to tylko chwilowy kaprys natury, czy też zmienił się front.

Zaległa cisza.

Można było odnieść wrażenie, że wprawny rzeźbiarz, delikatnie i z rozmysłem zanurzył dłonie w sinobiałej glinie, i w zupełnej, nieskazitelnej ciszy opuszkami palców rozgarnął chmury tak, jak rozpina się zamek błyskawiczny puchowej kurtki. Pokazało się niebo. Błękitne, rozświetlone, rozpostarte między szczytami, otoczone koronką z chmur niczym rokokową, bogato zdobioną attyką, wieńczącą pasma górskie i korony lasów.

Komukolwiek by jednak nie zawdzięczać chwilowej przerwy w zamieci, pewnym było, że chmury przedzieliły się, rozpieczęły, i oczekiwały przyczajone za szczytami. Pozwoliły przed wieczorem, aby promienie na mgnienie oka rozświetliły malowniczą kotlinę w Górach Orlickich.

O tej porze roku słońce trzymało się horyzontu, zawieszona nisko, zaznaczała tylko swoją obecność, północne stoki pozostawiając niedostępne promieniom. Zdawało się, że czas się zatrzymał, że rzeźbiarz nie tylko rozgarnął chmury, ale wstrzymał zegary, pozostawiając w oszołomieniu przypadkowych obserwatorów. Pauza przybrała kolor szklście niebieski i świeży, wreszcie bezdźwięczny.

Aż nieśmiało drgnęło. Piasek w zegarach ruszył. Niemy cień rozpoczął wędrówkę od szczytów Granicznej i Jelenia, zrównał się z Sołtysią Kopą i tyralierą, na całej rozciągłości Drogi Orlickiej ześliznął się po stokach i wdarł między rozrzucone w dolinie domy. Potem wspiął się delikatnie na niewielkie wzniesienie rozdzielające potok Podgórna od malowniczego dopływu, jednocześnie obejmując czule, lecz stanowczo Przyjacielską Kopę. W końcu przeskoczył przez strumień u jej podnóża, trochę pomarudził pod lasem, by na koniec wznieść się na szczyty świerków i zniknąć za Ołtarzem.

Wieczór nadszedł nieubłaganie. Choć trudno było nazywać wieczorem egipskie ciemności zapadające już przed siedemnastą. Słońce zniknęło. Pozostawiło, przyprowadzoną w ostatnich muśnięciach promieni, nostalgię. Pułapkę na turystów. Pułapkę skuteczną na tyle, że w letnie wieczory nie pozwalała spać i wracała, w chwilach zwątpienia, wspomnieniami pachnącymi mrozem, igliwem i żywicą sosnowych szczap, palonych w ogniskach.

Wokoło panowała niepodzielnie biel. Wszędobylska i wścibska. Rozsiana przez chmury milionem, miliardem, nieskończonością białych płatków. Tu i tam, przed domami na podjazdach, krzątali się ludzie. Otuleni w puchowe kurtki, wymachiwali w pocie czoła łopatami śnieżnymi. Wszystkim bez wyjątku przyświecała dewiza: odśnieżyć i zdążyć przed kolacją. Jednak półmetrowa warstwa śniegu, który spadł nim ziemia zrobiła pełny obrót wokół własnej osi, stawiała opór. Kryształki lekkiego puchu odrzucane na boki, na przekór wirowały w powietrzu i przyklejały się do policzków, nosów, a niektóre - bardziej

złośliwe - wpadały za kołnierz.

Idylliczny zimowy spektakl przerwał pług, torując sobie drogę w pokrywie śnieżnej. Parł przed siebie, wgrzając się wirnikami w lekko zmrożoną szatę i wyrzucał z gardzieli na pobocze niekończący się biały warkocz. Pchany przez wysokoprężny silnik czterosurowy i moc stu siedemdziesięciu pięciu ręcznych mechanicznych koni, zdawał się bawić otaczającą bielą. Kierowca Ziła sprawnie zawrócił maszynę na pierwszym ramieniu igrek, wzbijając w powietrzu fontanny śnieżnego kurzu, po chwili to samo uczynił na końcowej pętli drugiego ramienia, aż w końcu zniknął za zakrętem jedynej drogi prowadzącej do miasta. Znow zrobiło się cicho.

A kiedy ludzie zasiedli do kolacji, zaczęło padać od nowa. Biała cisza, przymuszona grawitacją, ścieliła się bezszelestnie z ciężkich, wolno płynących chmur, które jak się potem okazało, zawisły nad kotliną i miały nie opuścić gór przez następnych kilka dni.

Dwie pary oczu śledziły z czułością to niekończące się przedstawienie. Siedziały na pikowanym siedzisku obleczonym miękką flanelą z nosami przyklejonymi do trójszyby. Siedzisko umiejscowiono na szerokim, dębowym parapecie, na którym znalazło by się miejsce dla czworga. Przytulności dodawały jeszcze poduszki, tożsamo, we flanelowych pokrowcach. Nieme powierniczki wszelkich westchnień do przestrzeni wpadającej bezwstydnie do domku pod lasem przez panoramiczne okno, z którego roztaczał się teraz widok na nocne, ośnieżone góry, ubrane w poświatę świątecznych girland mieniących się kolorami tęczy, zwielokrotniony odbiciami w śnieżnej bieli. Refleksami podawanymi z kryształ na kryształ.

Kobiety rozmawiały cicho, jakby bały się, że nagle cudowny obraz zniknie i stopi się w czerń. Wtulone w siebie, ginęły w mroku pokoju na parterze.

W dłoniach trzymały kieliszki wypełnione *Chateaux de Birac*. Chłoneły słońce z francuskich winnic, wyciśnięte jesienią z soczystych winogron i zamknięte w każdej, najmniejszej kropli trunku. Półwytrawne wino rozdziewiczało kubki smakowe słomkową delikatnością i grało na receptorach łagodną, owocową nutą, jak gdyby winne grono było tylko złudą rozlaną w przydymione na blado-niebiesko butelki.

Za plecami kobiet, po drugiej stronie salonu, wciśnięte w kąt, w objęciach żeliwnej osłony i żaroodpornej szyby, bukowe drwa paliły się nieśpiesznie. Właściwie, niewielka ilość powietrza, która docierała do paleniska sprawiała, że tylko żarzyły się z wolna, oświetlając niewielki skrawek podłogi przed sobą. Czasem słychać było trzask świerkowego drewna, którego grube polano zostało przez jedną z kobiet z rozmysłem umieszczone w kącie pieca. Po całym domu rozplątało się przyjemne ciepło, kontrastujące z lekkim mrozem panującym niepodzielnie tuż za murami.

Jedna z kobiet wstała, zanurzyła stopy w grubym dywanie i bezszelestnie, niczym zjawa podążyła do lodówki. Po chwili na parapecie pojawiła się druga butelka wina i drewniana podstawka wypełniona kilkoma gatunkami żółtego sera, pokrojonymi w nieregularną kostkę. Co jakiś czas kobiety karmiły się nawzajem. Unosiły wykałaczki, z nabitymi nań od niechcenia kostkami sera i pozwalały, aby usta partnerki, szklące się od wina, zamknęły się wokół mlecznego, słonego smaku, rozpluwającego się pod językiem.

Tymczasem cisza niepostrzeżenie przeprowadziła wieczór w senną noc. Światła w domostwach zgasty. Gdzieś zastąpiła je poświata bijąca od telewizorów, ale i ta zniknęła w końcu przed nadejściem północy. Mrok rozjaśniały tylko wspomniane już, pulsujące łańcuchy świateł dodając otoczeniu bajkowego nastroju i przemożnej tajemnicy.

Wybiła północ.

I wtedy na placu przed ośrodkiem wczasowym zamruczał silnik. Podnóże stoku narciarskiego oświetliły reflektory. Umieszczone na dachu kabiny ratraka, do złudzenia przypominały oczy prehistorycznego pajęczaka, trochę oszołomionego faktem, że obudzono go w środku zimy, w środku epoki, pośrodku obcej, mroźnej bieli. Wyrwano z trzewi sudeckiego łupka, z wnętrza najstarszych gór Europy. Wskrzyszono, odtworząc wszystko, łącznie gardzielą, z której za chwilę wydobędzie się żaloszny krzyk oszołomionego życia. Póki co jednak, słyhać było tylko przytłumiony warkot motoru. Zdawało się, że zwierz wytrzeszcza z wysiłkiem oczu, jakby chciał dostrzec tego, który bez uprzedzenia i gwałtownie wstrząsnął cielem i obudził je z wiecznego snu. Można by przysiąc, że z cienia wyrastały, przybierając coraz to większe rozmiary, rachityczne odnóża tylko po to, by dosięgnąć i ukarać intruza. Ratrak ruszył nieśpiesznie, połykając świeży puch. A stukot lemieszki i łańcuchów do złudzenia przypominał chrobot pancernia i odnóży relikтового, wspomnianego pajęczaka. Tam, gdzie nie sięgały światła, otaczał go nieprzenikniony mrok. Jakby przed nim i za nim nic nie istniało.

- Jak ostatni Mohikanin - wyrwało się Marcie.

- Jest zupełnie jak Ty. Nie boi się zostać sam - odparła Karolina.

Marta przymknęła powieki. Przed jej oczami przetoczył się kalejdoskop złożony z mglistych obrazów. Kłębiło się tam wszystko: czego nie mogła unieść, czego nie mogła zapisać; wszystko co łamało ją na kawałki, co nie dało się odzobaczyć i odczulić; każde rozszczelnienie, wymuszony półkrok i zachwianie. Wszelkie nikłe dni, kiedy zdawało się jej, że powietrze wyrzuciło ją na bezlistny środek zmrożonej i obumarłej tundry. A jedynym sposobem by się mogła ogrzać, było przywoływanie wspomnień, słonecznych, zatopionych w macierzance i rozrzuconych wśród górskich goździków, krótkich chwil lata. Paradoksalnych, jak ogień w rękach dziewczynki z zapałkami. Jak rozmiar oceanu, z którego żadna z kropeł nie nadaje się do picia.

Samotność nie ma nic wspólnego ze strachem, ani też nic wspólnego z odwagą. Po prostu pojawia się pewnego dnia. Jest więcej zbiegiem okoliczności, niż wyborem czy rzucić kostką, czy kośćmi; przegraną ruletką, której kula zdaje się ciągle i ciągle poruszać. Przychodzi na kawę, siada w kuchni, bez słowa obrzuca wystrój, i tak już zostaje – jako kolejny niezbędny w dobrze wyposażonej kuchni; Albo pojawia się, jak sąsiadka, zbyt często i nie w porę. Maria, z niebiesko-mlecznie przydymionymi źrenicami - nie miała serca jej wyrzucać za drzwi, nie chciała widzieć jej kolejnych łez; człowieczego spadku po całkiem niedawnej utracie męża. Marta przesiąkła od wdowy smutkiem, który zdawał się chwilami, jak jej własny; od którego ścisnęło w gardle z taką siłą, że krzywa tangensa niechybnie zbliżyłaby się na bezwzględne zero do osi y. Marta, przerośnięta własnym bólem, wiedzona instynktem, przeprowadziła się pod byle pretekstem, byle dalej od wdowy i jej niekończącej się żałoby. Scenariusz zawsze był taki sam: próbowała być silna, dla tamtej, dla tamtego, a potem dla kolejnych i jeszcze następnych. Ludziom wydawało się, że samotność Marty, jest przyzwoleniem na jej automatyczne wypełnianie, że jest jak gra w kółko i krzyżyk, i nieustannie prosi się o zakreślenie kolejnego pola. A przecież jej samotność była zupełnie naturalna, jak siły, które trzymają las w zieleni; jak korytarz korzeni, zbyt słabych by rosnąć w oderwaniu, zbyt silnych i żylastych, by móc je przeciąć i odejść, a jednocześnie zbyt wrogich, by zaistniała symbioza i zbyt mądrych, by zapominać o wspólnych organach z których płynęły ożywcze soki.

- Wina!? Zjawo! – Karolina pstryknęła na palcach. - Tu ziemia do orbity, odchodzisz poza współrzędne!

Marta ocknęła się, uśmiechnęła i podstawiła kieliszek. Optymizm Karoliny burzył jej misternie złożone

twierdze. Był jak wybuchy supernowej; energia słoneczna, która gotowa do przeskoku czeka tylko na skinięcie powiek czarodzieja. Siła, zdolna zmusić wszystkie kwarki do kolejnej burzy protonów.

- Wyobraźmy sobie taką scenę, - zamruczała Marta, - zwilżając winem zaschnięte gardło, - że nagle z czeluści wylania się kolejny potwór-ratrak, a potem kolejny i następny; że jest ich z każdą chwilę więcej i więcej; że wylazą, jak pająki z dziur skrytych pod powałą lasów. I na sygnał najstarszego zaczynają rżesocić, mlaskać, mieć odnóżami, i przewracać oczydłami w poszukiwaniu ofiar. Część zwierzyny ucieka w stronę miasta, część zbyt ciekawska kończy w oślinionych gardzielach. Ale to jest dopiero początek, przystawka, bo stwory z czeluści najbardziej upodobują sobie mięso człowieka i nie odpuszczają, dopóki ich ogromne trzewia nie wypełnią się po brzegi, po krańce. I tak będą jadły, na zapas, jak gdyby znów miały się nie obudzić przez setki lat. Będą nażerać się długo i powoli, burząc mury i wygrzebując spod nich nic nie świadome, pogrążone w głębokim śnie ludzkie tusze. aż nie zostanie żaden świadek, żaden duch z całej, ponad sześćsetletniej historii górskiej osady. I nie padnie żadne słowo, ni choćby jedna skarga, gdy krew najpierw pokryje się śniegiem, a wiosną stopi się, by spłynąć do morza. W końcu i ludzie zapomną...

- Przestań, wariatko! Jutro nigdzie sama wieczorem nie wyjdę – zaśmiała się Karolina. - Aż mnie dreszcz przeszedł, na samą myśl, że rzeczywiście zaraz coś wyłoni się spod lasu, zatrzyma się tuż przed wielkim oknem i wymienimy z tym czymś ostatecznie spojrzenia, zanim nie znikniemy w jego paszczy...

- Świat jest okrutny, nie wiedziałaś? – spuentowała z uśmiechem Marta i po namyśle dodała, - Chodź, już pora. Znam niezawodny sposób na strach, - pozostawiając od niechcenia na zuchwach Karoliny ślady swoich dłoni.

W szarości poddasza jeszcze przez chwilę dostrzec można było zarys łopatek otoczonych siatką mięśni grzbietu spadających na kości biodrowe, pośladki i wybrzuszony zarys smukłych łydek. Kiedy jednak w kominku całkiem przygasło, tylko stłumione szepty zdradzały obecność dwóch par oczu.

Raz tylko z czerni wyrwał się śmiech, zmieszany ze stłumioną falą płaczu. A potem już nic.

Cisza była tak głęboka, że gdyby na ścianie salonu domku pod lasem wisiał zegar, cykanie wskazówek dudniłoby nieznośnie w uszach.

Nad ranem ciemność całkowicie zamknęła się nad kotliną. Ratrak początkowo zmrużył powieki, a potem zamarł w bezruchu. Noc mogła wreszcie nie niepokojona wyjść na spacer. Wsłuchać się w szelest padającego śniegu i liczyć płatki roztapiające się na jej policzkach. Mogła szukać odbić fioletowych oczu w zlodzonych taflach strumieni, które odgarniała raz po raz z grubej warstwy puchu. Na tle białej poświaty szmaragd jej puszystych włosów, rozbłyskał w rozdmuchiwanymi ustami rozkłębieniach śniegu. Lecz i ona, znudzona igraszkami, ziewając, w końcu zniknęła za zakrętem drogi, robiąc miejsce na wstający bez pośpiechu ostatni poranek starego roku.

*

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z

dnia 4 lutego 1994r.).

coca_monka, dodano 22.04.2020 08:52

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.